

doi.org/10.34765/sp.0420.a04

DEMOKRACJA, DEMOKRATYCZNY, DEMOKRATYZM JAKO POJĘCIA SYNDROMATYCZNE. TEZY

Streszczenie

Demokracja, demokratyczny, demokratyzm, demokratyzacja to pojęcia syndromatyczne. Zarówno same w sobie, gdy wskazujemy kryteria definicyjne, jak i w związkach pojęć – takich jak np. demokracja liberalna czy demokratyczne państwo prawa. Syndromatyczność tych pojęć polega na tym, że ich treść nie jest jednowymiarowa (w redukcji do sposobu wyłaniania i legitymizacji władzy, sposobu rządzenia, relacji między rządzącymi a rządzonymi), lecz określona jest przez splot charakterystyk ideologicznych, etycznych, socjoekonomicznych i prawnych. Demokracja „przymiotnikowa” to inna jakość niż „czysta” demokracja rozumiana dosłownie, lecz i blankietowo. Znajduje to wyraz w zróżnicowanych doktrynalnie modelach demokracji.

Słowa kluczowe: demokracja, demokratyczny, demokratyzm, demokratyzacja, syndrom.

Kody JEL: Y8

Wprowadzenie

Kryzys demokracji liberalnej, która miała być jakoby „końcem historii”, perfekcyjnym stanem uwiecznionym – kryzys idący w parze z erupcją populizmu, mieniącego się „głosem ludu” i właściwym rozumieniem demokracji, choć w rzeczywistości ujawnia oblicze autorytarne – jest mocnym impulsem i poważnym powodem do powtórnego przemyślenia pojęcia demokracji.

Wysiłek ten okaże się jałowy, jeśli nie wykroczy poza kolejną ideologiczno-doktrynalną rekonfigurację i nową kanoniczną wykładnię; jeśli nie znajdą przy tym zastosowania narzędzia logiki, metodologii, semantyki. A więc jeśli nie sięgniemy do takich kluczy jak: treść nazwy, jej zakres, pole semantyczne, nie odróżnimy nazw prostych od złożonych, nazw konkretnych od abstrakcyjnych, a określeń stanów rzeczy, cech pewnych bytów lub stosunków od określenia złożonych układów społecznych. Nie może być owocna refleksja, która gubi z pola widzenia nietożsamość kontekstów zastosowania takich terminów jak *demokracja*, *demokratyczny*, *demokratyzm*, *demokrata*, *demokratyzacja*.

Interpretacja terminu demokracja (głównie w zawężeniu do kwestii ustrojowych w doktrynach prawnopolitycznych i w historii myśli politycznej) ma bogatą tradycję. Znacznie skromniej przedstawia się bilans namysłu nad cechami postaw ludzkich – nie tylko w rolach i stosunkach politycznych, ale i w powszednich relacjach międzyludzkich, które nie są bezpośrednio związane ze stosunkiem władzy w państwie, z relacją rządzący – rządzeni, a którym też przypisywany jest termin „demokratyczny”. I co znamienne, zwykle taka refleksja rozwijana jest już gdzie indziej, osobno – zwłaszcza na gruncie etyki, pedagogiki, psychologii społecznej i psychologii osobowości. Niedaleko to nas doprowadzi, jeśli oddzielnie rozpatrujemy demokrację jako model ustrojowy, typ ładu politycznego i oddzielnie demokratyzm (lub jego deficyt, zupełny brak w danym społeczeństwie czy środowisku, jego zaprzeczenia w kulturze współżycia społecznego, kierowania małym zespołem itd.). Zaślepia nas, gdy za demokratyczne uznajemy po prostu i *a priori* to, co jest elementem strukturalnym demokratycznego porządku prawnopaństwowego, w oderwaniu od jego funkcjonalności, zgodności z samą zasadą demokracji.

Może coś przeoczyłem, ale w dyskursie naukowym i tym bardziej w publicystyce programowej, niemal nie spotyka się namysłu „meta” – nad statusem poznawczym tych terminów. A nie jest tym samym systematyzowanie ich znaczeń w rozmaitych definicjach regulacyjnych, projektowych czy perswazyjnych, w oderwaniu od kryteriów nie tylko semantycznych, ale i ontologicznych.

W tym kontekście zwraca uwagę dość powszechne w podręcznikach lub w publicystyce programowej nieświadomienie sobie faktu (lub jego konsekwencji), że same w sobie terminy demokracja, demokratyczny, demokratyzm, demokrata (w znaczeniu nadawanym im w definicjach słownikowych ze względu na etymologię oraz najbardziej obiegowy sens) mają charakter niejako blankietowy. Precyzyjną zaś treść zyskują dopiero w określonym kontekście, zwykle sygnowanym dopełnieniami-epitetami (zwłaszcza w postaci przymiotników: ludowa, liberalna, burżuazyjna, szlachecka; ale też: bezpośrednia, pośrednia). Istnienie abstrakcyjno-universalnego sensu terminu demokracja rodzi u niektórych uczestników debat ideologicznych, jak i akademickich, pokusę aby zakładać istnienie (przynajmniej na zasadzie konstruktu pojęciowego, wzorca) jakiejś czystej postaci demokracji, w odróżnieniu i w przeciwstawieniu do tych zanieczyszczonych, zdeformowanych. Są oczywiście powody do sporu, czy np. demokracja szlachecka albo ludowa (socjalistyczna) była w ogóle demokracją lub – przytomniej – w jakim stopniu była (ograniczoną jednak klasowo) demokracją. To wzorcowe wyobrażenie „czystej” demokracji ma pewien defekt: w odróżnieniu od tych ułomnych konkretyzacji, wcieleń – nie ma realnego desygnatu.

Gdy termin demokracja opatrujemy jakimś przymiotnikiem, to dla zachowania poczucia rzeczywistości nie wystarczy przyjąć, że to konkretyzacja pojęcia w trybie *per genus proximum* (demokracja w ogóle, jako taka czy też w jakiejś „czystej postaci”) *et differentiam specificam* (jaka, czyja). Nie wystarczy też uświadomić sobie, że w trybie preferencji aksjologicznej i definicji perswazyjnej uznajemy za ucieleśnienie ideału demokracji, za „jedyną prawdziwą” np. demokrację liberalną albo demokrację wiecową w społecznościach plemiennych.

W wyplątaniu z błędnego koła subiektywności uroszczeń lub relatywizmu pojęciowego pomoże dopiero uświadomienie sobie i przemyślenie nie tylko **kontekstowego**, ale przy tym ponadto **syndromatycznego** charakteru każdego z tych pojęć: i demokracji, i pochodnych – jak demokratyczność, demokratyzm, demokrata. Syndromatyczne ujęcie tych zjawisk (w konsekwencji uznania, że są splotem różnych cech przynależnych nietożsamym układom odniesienia) pozwala też uniknąć zdziwienia i skonsternowania antynomiami demokracji, niespójnością niejednorodnych komponentów „ładu demokratycznego”.

Celem niniejszego artykułu jest ukazanie, iż pojęcie demokracji oraz pojęcia pochodne mają charakter nie tylko kontekstowy, ale wręcz syndromatyczny. Temu służy zastosowanie narzędzi logicznej teorii nazw i definicji

w powiązaniu z kategoriami ontologicznymi. Jest to podejście nawiązujące do tradycji hermeneutycznej czy też interpretacjonistycznej.

Syndrom, syndromatyczność, pojęcia syndromatyczne

Syndrom to splot pewnych zjawisk, z których każde z osobna – poza tym związkiem – ma pewne właściwości same w sobie, często sobie tylko właściwe, które jednak w tym powiązaniu funkcjonują już niesamoistnie, bo nie według własnej specyficznej zasady, lecz pod wpływem mechanizmu spowodowanego ich zespoleniem, przeplataniem się, określoną konfiguracją. Połączenie tych zjawisk tworzy nową jakość. To znaczy: cechy tej całości nie sprowadzają się do sumy właściwości komponentów, a co więcej, komponenty zdeterminowane całością uzyskują właściwości nowe i nawet odmienne niż w funkcjonowaniu osobnym, samodzielny. To szczególnie przypadek całości integratywnej (w odróżnieniu od całości sumarycznej), gdyż tożsamość całości nie jest uogólnieniem czy ekstraktem z tożsamości elementów. W typologii zrzeszeń społecznych odpowiada temu różnica między kategorią społeczną, grupą społeczną lub wspólnotą, społecznością, wreszcie – konglomeratem grup i wspólnot (przykład: społeczeństwo wielokulturowe).

Warto podkreślić, iż tak pojęte syndromy najczęściej stanowią symbiozę elementów niejednorodnych, niepokrewnych sobie, mających odmienną genealogię lub – przed swoim „spotkaniem” i scaleniem – odrębny układ odniesienia. Czasem jest tak, iż te zjawiska tworzące syndrom nadal mogą też istnieć i funkcjonować osobno, w sposób dla siebie charakterystyczny; ale w sprzężeniu wzajemnym przybierają właściwości odmienne niż „w stanie czystym”.

Najprostszą ilustracją syndromatyczności jest porównanie właściwości pierwiastków metali z właściwościami ich stopów, porównanie cech żelaza jako takiego z właściwościami tlenku żelaza, niekiedy też – porównanie właściwości mieszaniny z właściwościami składników. A poza sferą zjawisk chemicznych i fizycznych liczne ilustracje znajdziemy w wiedzy i praktyce medycznej, gdzie odróżnia się różne syndromy lub zespoły schorzeń, niedomagania, zaburzeń od jednorodnych typów chorób, defekty anatomiczne od czynnościowych.

Semantyka pojęć syndromatycznych jest analogiczna jak mechanizm powstawania i funkcjonowania zjawisk, do których one się odnoszą.

Otóż wiele zjawisk politycznych ma właśnie syndromatyczny charakter. Dotyczy to zarówno zdarzeń zachodzących bez wpływu ludzkich zachowań, wydarzeń spowodowanych zachowaniem ludzi, jak też „splotem okoliczności” w postaci pewnej synchronizacji zdarzeń i zachowań, dalej – działań oraz procesów społecznych o podłożu lub wtórnym znaczeniu politycznym.

Ale też syndromami (ściślej: pojęciami syndromatycznymi) są abstrakcyjne idee, ideały, wzorce, zasady. Trzeba wyraźnie stwierdzić, iż do takich pojęć należy właśnie demokracja – nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że mówimy czy myślimy po prostu o demokracji (i tylko o niej), ale jeszcze bardziej wtedy, gdy umieszczamy termin demokracja w określonym kontekście, przez kwalifikację przymiotnikową lub lokalizację historyczną, cywilizacyjno-kulturową i ustrojową.

W rozważaniach deskryptywno-eksplanacyjnych jest to odniesienie do pewnego zespołu kryteriów kwalifikacji, a w rozważaniach aksjonormatywnych – do pewnego zespołu postulatów aksjologicznych (co najwyraźniej widać w definicjach perswazyjnych i w związku nierozzerwalnym – jak w „sakramentalnych węzłach małżeńskich” – z innymi jeszcze wartościami czy zasadami).

Powyższe stwierdzenie nie jest oczywiście „odkryciem Ameryki”. Wielu badaczy uznaje to co najmniej intuicyjnie za oczywistość, jednak bez wyciągnięcia wniosków z syndromatyczności omawianych pojęć – wniosków metodologicznych, jak i praktycznych.

W analizie syndromatyczności zjawisk i odpowiadających im pojęć mocno uwikłana jest różnica między atrybutami zjawiska a jego korelatami. Wyprzedzając dalszy wywód zwróciłbym uwagę, iż przy definiowaniu demokracji w kategoriach demokracji *liberalnej* mało kto zastanawia się nad tym, iż takie dopełnienia pojęcia demokracji jak *wolność* i *praworządność* są jej korelatami (skoro mogą też istnieć poza związkiem wzajemnym i związkiem z demokracją), a nie – jak podpowiadałyby emocje aksjologiczne – atrybutami.

Syndromatyczność zjawisk i odpowiadających im pojęć dobrze rozumiemy dopiero pod tym warunkiem, że uwzględniamy wielokontekstowość i wielowymiarowość (a nie jednowymiarowość i jednoczynnikowość) zarówno samych komponentów, które się ze sobą splatają, jak i tym bardziej ich splotu. W tym przypadku chodzi o wielokontekstowość, wieloaspektowość, wielowymiarowość tego, co nazywamy demokracją (i samego zjawiska, i pojęcia).

Warto też zauważyć, że kierunek rozumowania zasugerowany etymologią czy nawet ewolucją pojęć może być inny, nawet odwrotny niż kierunek zależności ontycznej. I tak etymologia terminu demokracja (władza ludu, ludowładztwo) sugeruje pierwotność i jakąś oczywistość zakresu i treści terminu,

a pochodność – terminów demokratyczny, demokrata, demokratyzm. Tymczasem tu jest tak jak ze związkiem między politycznością a polityką: wprawdzie pojęcie polityczności wykształciło się później niż pojęcie polityki, ale choć jest ono genetycznie wtórne, to w sensie poznawczym jest pierwotne. Bo warunkiem ustalenia, czym jest polityka, jakie są jej granice i jej mechanizm, jest określenie kryteriów, co jest (co uznajemy za) polityczne. Odpowiednio więc: to cecha demokratyczności (stopniowalna) charakteryzuje i weryfikuje zasadność użycia terminu demokracja.

Ta metodologiczna subtelność ma znaczenie nie tylko akademickie, ale również praktyczne – w sferze edukacji obywatelskiej oraz w sferze kultury politycznej (w sposobie myślenia i działania różnych sił politycznych, ale też kadr urzędników, menadżerów, technokratów). Zgubne dla wysiłków na rzecz urzeczywistnienia ideału demokracji, demokratycznego wzorca państwa i społeczeństwa jest obieranie za punkt wyjścia tylko i po prostu stereotypowej definicji demokracji w państwie.

Rodzina terminów o wspólnym rdzeniu

Termin demokracja najczęściej uruchamia skojarzenia jednoaspektowe – z ustrojem państwa, formą rządów. Tak silnie sugeruje nas jego etymologia, jak i najdłuższa tradycja historyczna (już od starożytnej myśli politycznej). I w zasadzie trudno oczekiwać, by zakres tego terminu jako rzeczownika czy jego układ odniesienia, został rozszerzony na inne sfery życia społecznego niż ta określona przez stosunek władzy w państwie i skorelowany z tym stosunek reprezentacji. Najczęściej nie określamy słowem demokracja (lub jego antynomiami) charakteru stosunków w przedsiębiorstwie, w rodzinie, we wspólnotie wyznaniowej (zwłaszcza – zinstytucjonalizowanej w postaci kościoła); ale przez to jesteśmy wtórnie zasugerowani, że to sfery, które podlegają innym kryteriom analizy i oceny niż charakter więzi między rządzącymi w państwie a rządzonymi. Aczkolwiek są liczne wyjątki od tej zawężającej konwencji terminologiczno-pojęciowej, takie jak pojęcie (opisowe i postulatywne) demokracji pracowniczej.

To przyzwyczajenie językowe nie tylko podpowiada nam bardzo wąską optykę w postrzeganiu życia politycznego, funkcjonowania państwa, ale też przesłania nam fakt, iż w istocie od dawna już w kręgu abstrakcyjnych pojęć (określających idee, zasady, wartości lub kryteria oceny zjawisk społecznych)

funkcjonuje rodzina pojęć o wspólnym rdzeniu – takich jak demokracja, demokrata (zwolennik demokracji), demokratyczny, demokratyzm (tendencja do obowiązywania i przestrzegania zasad wyrażających i gwarantujących demokrację), demokratyzacja (proces „udemokratycznienia”). Wszystkie wywodzą się ze wspólnych korzeni, a przy tym pojęcie demokracji spełnia w tej rodzinie rolę, jeśli nie „rodzica”, to w każdym razie „starszego brata”.

Pozostałe wymienione terminy są etymologicznie pochodne, ale wzbogacone w swoim polu semantycznym również o taki kontekst, układ odniesienia, jaki nie występuje w treści tego ustrojowego terminu demokracja. Każdy z tych terminów już sam w sobie ma charakter syndromatyczny.

I tak słowo demokrata od dawna już – czy to jako kwalifikacja poglądów, przekonań i przewodniej zasady w postępowaniu człowieka, czy jako wzniosła nazwa dla pozytywnego wzorca osobowego (obywatela, przywódcy, ale i wzorca człowieka po prostu) – określa nie tylko kogoś, kto jest zwolennikiem demokratycznej formy rządów, a tym bardziej sam to uosabia w swojej postawie ściśle politycznej (jako wyborca, urzędnik, funkcjonariusz państwa, nauczyciel wiedzy obywatelskiej, publicysta-komentator). Słowo demokrata oznacza coś więcej: powiązanie wiadomej postawy politycznej (wymagania służebności władzy i poddania jej kontroli) z przymiotami wynikającymi z kierowania się w całokształcie spraw i decyzji życiowych regułami uniwersalistycznego humanitaryzmu, egalitaryzmu, sprawiedliwości społecznej, jak i sprawiedliwości proceduralnej. Znakomicie ukazano to w klasycznej rozprawce Marii Ossowskiej, jak i w rozważaniach Czesława Znamierowskiego dotyczących „rycerskiej” postawy elit zasługujących na miano demokratycznych. Demokratą jest więc ktoś, komu obce są postawy elitaryzmu, klasowego ekskluzywizmu, pogardy dla „plebsu”, „hołoty”, postawy ksenofobii, nacjonalizmu, autorytarne wzorce kierowania innymi w stosunkach pracy czy w życiu rodzinnym. Ktoś, kto kieruje się szacunkiem dla praw i godności każdego człowieka jako człowieka – bez względu na jego pochodzenie, status majątkowy, miejsce w hierarchii społecznej. Ktoś, kto respektuje cudze interesy i przekonania, a jeśli są rozbieżne lub sprzeczne z jego własnymi, to widzi możliwość i konieczność rozwiązywania sporów, konfliktów w drodze perswazji, dialogu, kompromisu. I taką busolą kieruje się we wszystkich sytuacjach społecznych i sferach życia. To znacznie szersze, kompleksowe rozumienie bycia demokratą niż to odnoszone wyłącznie do formalnych praw obywatelskich, wyborczych, do legitymizacji władzy.

Na marginesie warto zauważyć, iż o tej subtelności niekoniecznie myślą historycy, politycy, propagandyści, gdy określenie „opozycja demokratyczna”

uznają za wyczerpujące i adekwatne tylko na tej podstawie, że jakieś ugrupowanie przeciwstawia się rządowi autorytarnym, kwestionuje demokratyczny charakter dotychczasowego ustroju, ma w swoim programie wolne wybory, pluralizm partii i mediów. To jedynie ramy dla porządku demokratycznego, lecz nie gwarancja, że za takim programem kryje się bezwarunkowa gotowość do samoograniczenia, poddania się kontroli społecznej na co dzień, a nie tylko w okresie wyborczym itd.

Epitet (w tym przypadku – pozytywny, wbrew potocznemu pejoratywnemu rozumieniu słowa epitet) „demokratyczny” może mieć oczywiście i często miewa sens zawężony do zakresu wyznaczonego przez ustrojowy kontekst słowa demokracja. Wtedy „demokratyczny” to taki, który wyraża, potwierdza model władzy w państwie – jako powoływanej (i odwoływanej) przez lud, rządzącej w imieniu, w interesie i pod kontrolą ludu. W takim kontekście mówimy: państwo demokratyczne, demokratyczny styl rządów.

Określenie to odnosimy również do komponentów takiego mechanizmu czy systemu politycznego: demokratyczne instytucje, demokratyczne zasady konstytucyjne itp. I do sił politycznych (partie demokratyczne). Nie zawsze zastanawiając się, czy do nazwania partii demokratyczną wystarczy, że mieści się ona ze swoim programem i sposobem uczestnictwa w życiu politycznym w ramach prawnych demokracji w państwie, czy nie należałoby jeszcze sprawdzić zgodności norm statutowych i praktyki wewnętrznego funkcjonowania z wzorcem państwa demokratycznego.

Przymiotnik ten może też okraścić poglądy i programy polityczne wyrażające, uzasadniające lub postulujące mechanizm władzy nazywany demokratycznym. Mówimy więc odpowiednio o demokratycznych wartościach, o programie demokratycznych reform itp. Podobną funkcję spełniają wyrażenia złożone nacechowane, podkreślające tę cechę (choć nie na zasadzie wyłączności) pewnego systemu poglądów, m.in. ideologii lub doktryny politycznej; por. socjaldemokracja, chrześcijańska demokracja.

W tym miejscu także zachodzi potrzeba uzmysłowienia sobie, że za tak popularnym (aż do trywializacji lub rozmycia) użytym z przymiotników demokratyczny, demokratyczna kryje się właściwość powtarzalna i znajdująca wiele wcieleń, którą najlepiej oddawałaby nazwa abstrakcyjna demokratyczność – o statusie analogicznym jak równość, wolność, sprawiedliwość czy praworządność. Wymowny jest jednak brak takiego słowa w języku nauk prawnych i politycznych, jak i tym bardziej w języku publicystyki w mediach. Świadczy to o tym, że nie uświadamiamy sobie w pełni zależności między znaczeniem terminu demokracja – jako wyjściowego oraz demokratyczny (a)

– jako pochodnego. A jest to sprzężenie zwrotne. Przymiotnik demokratyczny staje się bowiem – wtórnie – kluczem do sprawdzenia zasadności (zasadności w ogóle lub stopnia zasadności) zastosowania terminu demokracja. Na zasadzie na pierwszy rzut oka paradoksalnej: czy (albo w jakim stopniu) ta demokracja (jako forma państwa, rządów) jest demokratyczna; a w żartobliwej formule: ile jest demokracji w tej demokracji?

Przy tej okazji odnotujmy, że cecha demokratyczności jest stopniowalna. Demokratyczny charakter mogą mieć stosunki społeczne, formy więzi i współdziałania między ludźmi, atmosfera współżycia, kultura rywalizacji we wszystkich albo jedynie w niektórych sferach życia społecznego, publicznego czy kameralnego; na wszystkich szczeblach organizacji życia społecznego lub np. tylko „na szczycie” (w relacjach między rządem i parlamentem, lecz już nie między burmistrzem a dyrektorem szkoły).

O ile przymiotnik demokratyczny występuje w wywodach naukowych, w dokumentach politycznych i w publicystyce głównie kontekstowo, ale i blankietowo, bez refleksji nad pełnym zakresem nazwy, różnymi kontekstami cechy demokratyczności, to już rzeczownik demokratyzm jest stosowany i odbierany bardziej treściwie i wyraziście.

Demokratyzm to określenie cechy postaw jednostkowych lub grupowych (korelat mentalności) o charakterze względnie spontanicznym lub wynikających z internalizacji poglądów, które trafnie należałoby nazwać demokratycznymi. Jest to określenie busoli i reguły w postępowaniu wobec jednostek lub grup społecznych w warunkach realnych nierówności społecznych, zróżnicowania statusu, kompetencji. Zauważmy: to jednak odnosi się nie tylko do kultury rządzenia (np. dialogu społecznego, do konsensualnego, negocjacyjnego i kompromisowego lub np. konsultacyjnego trybu podejmowania decyzji), ale i do tego, jaką miarę szacunku okazujemy oponentom, rywalom, słabszym uczestnikom sporu czy przetargu politycznego, lecz, co więcej – jak w powszednich kontaktach międzyludzkich odnosimy się do zróżnicowania mentalności, obyczajów, do odmienności. A w dynamicznym, procesualnym ujęciu nazywamy tak intencje pewnych dążeń (do demokratyzacji).

To właśnie trzeba podkreślić. Pojęcie demokratyzmu nie jest prostą konkretyzacją czysto ustrojowego sensu terminu demokracja, nie odnosi się tylko do związku między rodowodem i formą rządów, a prawem obywatela do wywierania wpływu na rządy, a nawet do całego kompleksu praw obywatela, umożliwiających mu dobrostan właśnie dzięki ich przestrzeganiu przez władze. Do zakresu pojęcia demokratyzmu należy również sfera praw człowieka jako człowieka i jej uregulowanie m.in. w normach prawa humanitarnego. Ale

też korelatem czy sprawdzianem demokratyzmu jest klimat stosunków między ludźmi o niejednakowym statusie społecznym, między tubylcami a ludnością napływową, między większością dominującą pod względem wyznaniowym czy obyczajowym a mniejszością (kwestia tolerancji). To splot wyznaczników wielorakich, a więc syndrom.

Na chwilę zastanowienia zasługuje również popularne określenie procesualne demokratyzacja. Jego sens wydaje się – zwodniczo – oczywisty, podczas gdy jest to również określenie wieloaspektowe i wieloznaczne. Słowo „demokratyzacja” może odnosić się do łagodzenia autorytarnego charakteru państwa i rządów przez wprowadzanie elementów (może i załączków) demokracji, które jednak jeszcze nie czynią panującego porządku demokracją. Czyli może być np. atrybutem sterowanego politycznie procesu przekształcania dyktatury w technokratyczne rządy oligarchii. Ale z drugiej strony może to być określenie przemian w stosunkach społecznych (w stosunkach pracy, w sytuacji prawnej obywateli państwa jeszcze bynajmniej nie demokratycznego, w obyczajowości, etykietce społecznej) – zarówno sterowanych, jak i obiektywnie nieuchronnych, wymuszających zmiany prawne, zmiany w języku komunikacji publicznej itd. Najprostszy przykład takiego kontekstu słowa to towarzysząca procesom emancypacji klas nieposiadających, „uobywateleniu chłopów” itp. zmiana w etykietce językowej: zwracanie się do rolnika, robotnika, stangreta per „pan”, już nie per „wy” (Józefie, wypierzcie mi koszulę); po długim okresie, gdy zwrot „pan” odnosił się do dziedzica, ekonomy, fabrykanta, inteligenta z „wyższych sfer”. Nie mówiąc już o tak zasadniczej zmianie pojęciowej, jak zastąpienie wyrazu *poddany* słowem *obywatel*.

A czy możliwa jest „demokratyzacja demokracji”? Może w pierwszym odbiorze brzmi to dziwnie, ale jeśli uzmysłowimy sobie stopniowalność i wielozakresowość cechy nazwanej tu demokratycznością, będzie to wyrażenie jak najbardziej logiczne. Wpisuje się to w znane od dawna rozróżnienie między demokracją formalną (czy też – formalnymi gwarancjami demokracji) a materialną (odpowiednio – materialnymi gwarancjami demokracji). Ciekawe swoją drogą, czy obecny kryzys demokracji liberalnej utożsamianej z III RP skłoni demokratów protestujących przeciw autorytarnym rządóm pod hasłami IV RP do zrozumienia, iż po ewentualnym upadku rządów Zjednoczonej Prawicy nie wystarczy przywrócenie demokracji (w stanie poprzedzającym okres naruszenia porządku konstytucyjnego), ale że „reaktywacja demokracji” wymaga kroku dalej – demokratyzacji tej, jak już dziś widać, niedoskonałej i niepełnej demokracji.

Wnioski z kontekstowego sensu tych spokrewnionych pojęć

Jeśli uwzględnimy te niuanse, to oderwiemy się od płytkiej interpretacji demokracji, walki o demokrację, zagrożeń dla demokracji itd. Zrozumiemy z jednej strony, że w demokratycznym państwie – paradoksalnie właśnie ze względu na demokratyzm ram ustrojowych i procedur mających zapobiegać zawłaszczaniu państwa przez jedną siłę polityczną – mogą swobodnie (i nawet ofensywnie, agresywnie) rozwijać aktywność ugrupowania nie tylko niedemokratyczne (w swoim własnym charakterze, wewnętrznym funkcjonowaniu), ale i wręcz antydemokratyczne (nawet otwarcie, programowo). Zarówno w postaci rytualnie kontestacyjnej (tu kłania się Janusz Korwin Mikke z jego sławetnym kalamburem d***kracja), jak ekstremistycznej (ciągoty bojówkarskie). A także instytucje zaprzeczające zasadom demokracji nie tylko swoim wewnętrznym funkcjonowaniem i założeniami doktrynalnymi (jak Kościół katolicki), ale i wpływem na państwo zdecydowanie niedemokratycznym (*vide*: sojusz tronu i ołtarza, zakulisowe naciski hierarchii kościelnej, propagandowa ofensywa środowisk klerykalnych; na innej płaszczyźnie – patologiczny „lobbyizm”).

Zrozumiemy też z drugiej strony, iż państwo niedemokratyczne (w tym sensie ściśle politycznym, ustrojowym) lub tak połowicznie demokratyczne, że w ten sposób zaprzecza uniwersalistycznie rozumianej istocie demokracji, może jednak mieć osiągnięcia w sferze demokratyzacji stosunków społecznych – ze względu na niwelowanie różnic i upośledzeń społecznych, wyrównywanie szans społecznych, wdrażanie reguł sprawiedliwości społecznej w podziale dóbr, upodmiotowienie grup społecznych w mechanizmach awansu społecznego itd. W tym sensie – pod pewnym względem – PRL była państwem bardziej demokratycznym niż II RP, nawet w okresie przedsanacyjnym, choć oczywiście pod innym względem ocena jest odwrotna.

Tego nie chcą zrozumieć obsesyjni dekomunizatorzy, widzący w PRL jedynie zawłaszczenie państwa przez jedną, nieodwoływaną partię, cenzurę, represje wobec opozycji, brak wolnych mediów i wyborów, nieprzyjmujący natomiast do wiadomości, iż to autorytarne państwo zlikwidowało analfabetyzm, zapewniło powszechny dostęp do oświaty, służby zdrowia, możliwości wypoczynku wakacyjnego w skali zbiorowej – i temu podobne zdobycze cywilizacyjne, których brak przesądzał o tym, jak nieliczni obywatele państwa byli w pełni obywatelami.

Porównanie PRL i III RP nasuwa też spostrzeżenie odwrotne: może być bardzo demokratycznie w sferze polityczno-ustrojowej (rzeczywista wybieralność

i wymiennosc wladz, pluralizm polityczny, swobody obywatelskie i ich gwarancje), demokratycznie rowniez w sferze konsumpcji masowej, a jednak niezbyt demokratycznie w sferze praw pracowniczych, perspektyw zyciowych (dziedziczenie luksusu i sukcesu lub uposledzenia, konserwacja podzialow klasowych mimo formalnego egalitaryzmu). Zatem diagnozy w kwestii demokratycznosci lub niedemokratycznosci panstwa, instytucji publicznych, kultury politycznej spoleczenstwa powinny byc zniuansowane wedlug zlozonych kryteriow, zbilansowane, jezeli nie maja byc propagandowo prostackie.

W swiadomosci potocznej, w przekazie medialnym i w jezyku publicystow, jak i politykow, slowa demokracja i demokratyczny funkcjonuja – niestety – czesciej w roli zaklecia, sloganu, wytrychu niz w charakterze kategorii refleksyjno-analitycznej, z rozbudowanym wachlarzem kryteriow. I w jednowymiarowym ukkladzie odniesienia, do ustroju panstwa – czy to w zalozeniach i normach konstytucyjnych, czy nawet jako prostacka wręcz diagnoza, kwalifikacja (u nas, u nich jest demokracja, nie ma demokracji).

Jednowymiarowy sens terminu demokracja

Pojęcie demokracji (oraz demokratyzmu i demokratycznosci) nie od razu obroslo w konotacje, ktore uczynilo je syndromem. W punkcie wyjscia – co nadal znajduje wyraz w analizie etymologicznej i czysto semantycznej – sens tego pojecia ograniczal sie do tresci samego w sobie (bez dodatkowych kwalifikacji i związkow leksykalnych) terminu demokracja, jego zakresu przedmiotowego i wazkiego kontekstu zastosowania.

Jakie jest to pierwotne – doslowne i jednowymiarowe, a jednak „niedopowiedziane” – rozumienie terminu demokracja? Odnosi sie ono do kwestii wladzy – zrodel wladzy w panstwie, podmiotu wladzy, granic wladzy podmiotu sprawujacego rzady (w kontekscie relacji rządzacy – rządzeni). A wiec: do sposobu powolywania (wylaniania) i odwoływania wladz (tu zwykle przyjmowany jest wyrazisty wyrozniak: demokratyczne sa rzady, ktore nie same siebie powoluja, a moga byc odwolane – przez taka czy inną wspólnotę rządzonych) oraz do sposobu rządzania.

Za skrótem myslowym „sposob rządzania” kryje sie okreslony typ relacji miedzy rządzacymi a rządzonymi (spoleczna reprezentatywnosc politykow, sluzebnosc rządzacych wobec zbiorowosci „obsługiwanej”, kontrola ze strony rządzonych, uzalenie zakresu swobody dzialania wladz od spolecznego

poparcia lub co najmniej przyzwolenia, możliwość zmiany rządzących). Oraz szczególnie mechanizm podejmowania decyzji (znaczenie opinii społecznej i wpływ woli zbiorowej na decyzje rządzących; wypracowywanie rozwiązań problemów społecznie istotnych, a spornych w drodze dialogu, negocjacji, konsultacji, plebiscytów, referendum). W grę wchodzi tu zarówno styl podejmowania i egzekwowania decyzji, jak i styl komunikacji rządzących z rządzonymi (w szczególności: jedynie względna, umiarkowana asymetria w tym oddziaływaniu). Ale takie założenia to już późniejsza konkretyzacja.

Zauważmy przy tym, że kwestia władzy – a więc i demokracja jako złożony mechanizm życia politycznego, i demokratyzm jako atrybut funkcjonowania systemu – może być rozpatrywana nie tylko na poziomie trwałego ustroju państwa (państwo demokratyczne – w odróżnieniu od niedemokratycznego), w którym zmiana obozu rządzącego nie przekreśla ciągłości w funkcjonowaniu państwa ani nie oznacza reinterpretacji albo naruszania zasad ustrojowych. Może to odnosić się do określonego etapu rządów i określonego obozu rządzącego.

Może przy tym zachodzić nietożsamość między klasycznie rozumianym typem państwa a formą państwa, rządów. Przykłady: demokracja ateńska (nie dla niewolników przecież), demokracja szlachecka (nie dla łyków i chamów).

Nie zapomnijmy także, iż popularny i natrętnie powielany zrost wyrazów opozycja demokratyczna bynajmniej nie jest oczywistością w żadnym typie reżymu politycznego, włącznie z tym demokratycznym, gdyż opozycja może być niedemokratyczna zarówno w państwie demokratycznym, jak i w niedemokratycznym, autorytarnym. Samo w sobie przeciwstawienie się rządóm autorytarnym lub ambicja obalenia ustroju autorytarnego jeszcze nie jest gwarancją, że przeciwnicy rządu, reżymu są demokratami, nosicielami „demokratycznej zmiany”, „demokratycznej alternatywy”. Nad czym zwykle nie zastanawiają się i nie rozwodzą „wolne media”.

Tu wkraczamy w kłopotliwą konkretyzację treści pozornie tak jednoznacznego związku wyrazów władza ludu, ludowładztwo.

Wieloznaczność pojęcia „władza ludu”, „ludowładztwo”

Bo cóż to znaczy – „władza ludu”? Obywa komponenty, jak i desygnaty tego związku wyrazów wcale nie są tak oczywiste ani jednoznaczne, jak mogłoby sugerować dosłowne przetłumaczenie z greki; okazują się problematyczne.

Władza ludu rozumiana najdosłowniej musiałaby polegać na tym, że lud – bezpośrednio i jako całość sprawuje rządy (wyraża wolę zbiorową, podejmuje decyzje), co można by, zresztą tylko w pewnym przybliżeniu, przypisywać formom demokracji bezpośredniej – wiecowym lub plebiscytnym.

W realiach dużych zbiorowości państwowych o wielopoziomowej strukturze więzi i organizacji społecznej mamy na myśli raczej coś innego: bądź władzę sprawowaną **w imieniu ludu** (tj. z powołaniem się na jego wolę – a tu ujawnia się niuans: za przyzwoleniem jedynie, czy też z upoważnienia i na żądanie ludu), bądź władzę sprawowaną **w interesie ludu**.

W tym drugim kontekście należy dostrzegać i wciąż przypominać istotny niuans: że mianowicie nie tym samym jest intencjonalna służebność (działanie w dobrej wierze w przekonaniu, że to dobrze służy interesom ludu, że tego wręcz wymaga interes, dobro ludu) oraz skutki działania reprezentanta dla interesów tegoż ludu. Można np. w imieniu i rzeczywiście z woli ludu – za jego przyzwoleniem albo nawet na jego żądanie – działać na szkodę interesów ludu. Można też działać w interesie ludu (z punktu widzenia skutków działania) wbrew jego woli; choć pokusa działania z wyłączeniem tych, których to dotyczy, dla ich dobra (kiedy to dobro wymaga nie tylko danego działania, ale i tego, by w tym nie przeszkadzali) ma posmak wiadomy, niebezpieczny. I wątpliwy w przypadku, gdy temu hołdujemy pod sztandarem idei demokratycznych.

A przy tym dość natrętnie nasuwa się tu pytanie, kto to określa, rozstrzyga (powinien określać, przesądzać): czy sam lud? w jaki sposób? czy ktoś wyposażony w atrybut wyroczni (jako reprezentant będący zarazem sługą i opiekunem, kuratorem)? a jeśli nawet tak, to czy na zasadzie samomianowania w poczuciu misji, czy w trybie swoistego uppełnomocnienia, czy pozostając **pod kontrolą** ludu jako mocodawcy? Pamiętając o różnicy między abstrakcyjno-statycznym schematem relacji reprezentowania a rzeczywistą procesualną dynamiką tego stosunku zauważymy też, że możliwa jest jego ewolucja w kierunku wyobcowania (autotelizacja interesów przedstawicieli) lub odwrócenia związku, kiedy to sługa ludu staje się, okazuje się dobroczyńcą paternalistycznym. Nadal służy (przynajmniej w swoim mniemaniu), ale jako kurator dyscyplinujący podopiecznych.

Rządy w imieniu i (lub) w interesie ludu oznaczają, że wprowadzamy do treści nazwy demokracja komponent dodatkowy: reprezentacja (przedstawicielstwo). A rzadko uzmysławiamy sobie, że stosunek reprezentowania kogoś przez kogoś innego niekoniecznie, nie sam w sobie z natury swojej, jest związany z władzą ludu. Reprezentant może wszak służyć nie tylko ludowi. Może

– z błogosławieństwem ludu – służyć partykularnym interesom jednej grupy, a nie dobru wspólnemu i powszechnemu.

W każdym razie jednak pojawia się tu już pierwsze zawężenie zakresu nazwy spowodowane rozszerzeniem zespołu kryteriów. Skrót terminologiczny „demokracja” oznacza faktycznie (w domyśle): demokracja **przedstawicielska**, w konsonansie, a czasem w dysonansie z innym zrostem: demokracja **partycypacyjna**. Już na tym abstrakcyjnym poziomie *simple therm* okazuje się syndromem.

Co to znaczy – władza ludu?

Rozszyfrujmy ten skrót myślowy, ocierający się o metaforę: rządy ludu, władza ludu. Można to rozumieć tak dosłownie, że wola ludu wskazuje rządzącym (z ramienia tegoż ludu) cele, kierunki działania i określone rozwiązania. A przynajmniej określa granice dla swobody działania z założenia służebnego. Ale bardziej realistycznym kryterium i sprawdzianem jest (przy założeniu wyjściowym, że władza nie sama siebie instaluje, lecz jest wybierana – w takim czy innym znaczeniu) wpływ obywateli na rządzących już po tym, jak zostaną wybrani. Wpływ ograniczający zakres ich swobody działania, zapobiegający samowoli, nadużyciom władzy; nacisk społeczny polegający na kontroli społecznej i prawnej, wreszcie – na możliwości przedterminowego (przed upływem kadencji) odwołania rządzących, zastąpienia ich kimś innym. Bo cóż to byłaby za demokracja, gdyby wyborczy mandat demokratyczny otwierał drogę do działania zaprzeczającego zaciągniętym zobowiązaniom?

To efektywny **nacisk społeczny** (oczekiwania, żądania, jak i opór) zapewnia rzeczywisty demokratyzm demokracji (wbrew pozorom to nie jest pleonazm). Ale pod tym warunkiem, że jego efekt materializuje się na poziomie całej ekipy, obozu politycznego, jak i na poziomie jednostkowych reprezentantów woli ludu (radnych, deputowanych, ministrów zaprzeczających wyborczym zobowiązaniom partii, która im powierzyła stanowiska).

Otóż właśnie to – jak wiadomo – jest miękkim podbrzuszem we współczesnych demokracjach (także tych liberalnych, programowo odwołujących się do legitymacji wyborczej). Występuje tu dotkliwa luka w ludowładztwie, polegająca na tym, że wyborcy zwykle mogą odwołać reprezentantów dopiero po fakcie, przez ich niewybranie powtórne, a nie w momencie, gdy mandat

został przekroczony, zaufanie zawiedzione lub nadużyte, gdy reprezentowani domagają się zmiany przed terminem kadencyjnym.

Podobnym defektem demokracji współczesnych jest brak równowagi między przedstawicielskim a referendalnym czy plebiscytnym mechanizmem wyrażania i egzekwowania woli ludu. A drastycznym tego przejawem są rozwiązania konstytucyjne i taka praktyka polityczno-ustrojowa, że to właśnie reprezentanci (z abonamentem uprawnień na 4–5 lat z góry) decydują o tym, czy plebiscyt albo referendum dojdzie do skutku (por. dość świeży jeszcze polski przykład: „zmieleni”).

Przewaga mechanizmu plebiscytnego znamionowałaby anarchizację życia państwowego, ale brak przeciwwagi dla systemu przedstawicielskiego (kiedy np. większość parlamentarna może zignorować i wrzucić do kosza reprezentatywną społecznie inicjatywę ustawową lub referendalną) upodabnia sytuację obywateli-wyborców do statusu konsumentów-nabywców towaru, którzy słyszą: „po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnia się”. A to dość osobliwe ucieleśnienie podmiotowości ludu, ułomność ustroju przypominająca kulawinę, nierówne dwie nogi. Jak wiadomo to w reakcji na takie defekty demokracji liberalnej wyrosły tendencje populistyczno-demagogiczne.

Mógłby ktoś teraz spytać: A gdzie tu syndromatyczność? Zawiera się już w samym definiensie terminu demokracja, jakim jest skrót myślowy ocierający się o metaforę – władza ludu. Bowiem pełna treść tej nazwy obejmuje proces powoływania, jak i odwoływania; zarówno upoważnienie zbiorowe, zbiorowe poparcie lub przyzwolenie, kontrolę, nacisk na rządzących w toku ich działania, wreszcie opór społeczny aktualizujący zakres mandatu społecznego lub przekreślający ten mandat.

Wola ludu – czyli czyja?

Zgoła mistyczny wydaje się wydzźwięk pojęć wola ludu, wola powszechna, wola zbiorowa. Za tym skrótem w żargonie prawniczym i politologicznym kryje się wszak swoista fikcja ideologiczno-prawna, o statusie podobnym jak np. „racjonalny prawodawca”. Realnym odniesieniem dla tych zgrabnych słówek jest przecież skomplikowany mechanizm wypośrodkowania rozbieżnych i przeciwstawnych dążeń społecznych wynikających z nietożsamości interesów, odmienności poglądów. Wymiernym narzędziem materializacji tej woli jest rachunek większości i mniejszości (niejako z podwójnym dnem, bo większość

mandatów w parlamencie niekoniecznie odpowiada podobnej większości w społeczeństwie) oraz rozstrzygania podziałów zasadniczych bądź w drodze dialogu, kompromisu, bądź na zasadzie „kto ma więcej szabel”. Wtedy demokratyczne jest to, czego zażyczyła sobie, przy czym uparła się jakaś większość realna lub nawet tylko dobrze upozorowana albo zalegitymizowana w roli większości, choć w samym społeczeństwie może to być tylko lepiej zorganizowana, świadoma swych dążeń i zdeterminowana mniejszość. Nie bez powodu więc pojawiło się kryterium o charakterze bezpiecznika czy warunku brzegowego: sprawdzianem demokracji jest respektowanie praw mniejszości.

Władza ludu, ludowładztwo, rządy ludu i podobnie wola ludu – to brzmi tak, jak gdyby chodziło o myślenie, decydowanie „jak jeden mąż”; podczas gdy tu chodzi o ścieranie się w łonie wspólnoty (ludu) rozbieżnych i często przeciwstawnych dążeń, nierzadko o głębokie podziały (pęknięta wspólnota). Powstaje więc oczywista kwestia: władza ludu, wola ludu – to znaczy: czyja? I związana z tym: kto (czy w ogóle ktokolwiek) ma prawo występować i decydować imieniu całości, której sam jest tylko częścią? A jeśli, to pod jakim warunkiem? Ze względu na ten problem nie bez powodu refleksja nad demokracją przesunęła się w kierunku proceduralnych mechanizmów i sprawdzianów reprezentatywności społecznej, miarodajności, granic mandatu.

Probiezmem demokratyzmu demokracji („ile jest cukru w cukrze”) jest zatem nie wola ludu obowiązująca, lecz stopień społecznej reprezentatywności tej wypadkowej dążeń oraz przyzwolenia na jakieś wypośrodkowanie lub dominantę. To zaś jest związane z uznaniem zasadności proceduralnej tego, co prawowicie obowiązuje – według zgodnie uznanych reguł gry politycznej (wprawdzie nie zgadzamy się z tym rozwiązaniem, decyzją, ale przyznajemy wam prawo do działania w ten sposób i w tym kierunku).

Wynika to oczywiście z wielorakiej niejednorodności zbiorowości nazywanej ludem. Niejednorodności pod względem statusu społecznego (w tym klasowego), interesów, mentalności, poglądów. Problem jednoznaczności woli wynika nierzadko stąd, że poglądy – w przypadku tych grup lub jednostek, które w ogóle mają jakieś poglądy – mogą mieć charakter eklektyczny, a nie spójny i jednoznaczny; czego dziś najlepszym przykładem jest populizm.

Przytomna analiza podmiotu demokracji musi być odporna na ideologiczne mistyfikacje sprzężone z metodologicznymi redukcjami. Jedną z nich jest utożsamianie ludu z sumą obywateli; a pochodnym wytrychem – nazywanie suwerenem całej populacji uprawnionej do głosowania (w tym – niekorzystających z tego prawa lub korzystających niesuwerennie, bo na oślep lub za podpowiedzią). Przeciwną mistyfikacją, także powiązaną z metodologicznym

skrajnym uproszczeniem, jest tak kolektywistyczne rozumienie ludu, iż ten staje się abstrakcją, hipostazą socjologiczną, zupełnie oderwaną od podmiotowości jednostek, odłamów klas i warstw, konkretnych środowisk zorganizowanych, skupionych w różnych zrzeszeniach. Przed nawias wyciągamy więc inny punkt wyjścia: demokratycznie jest wtedy, gdy każdy obywatel ma te same prawa, jakie czynią go członkiem ludu. Ów lud złożony tylko z lepszych (określa się to arbitralnie) obywateli lub lud złożony z lepszych i gorszych, gdy tylko głos tych pierwszych jest słyszalny i ma znaczenie, to sprzeczność sama w sobie.

Jeszcze inną mistyfikacją – ale już na zasadzie prostackiego nadużycia, bez zabawy w intelektualne wydmuszki – jest charakterystyczne dla demagogów i przywódców populistycznych postępowanie według zasady „to ja określam, kto należy do ludu”, to ja do niego zaliczam lub wykluczam.

Arbitralne zaliczanie do ludu według kryteriów religijnych (lud Boży), etnicznych (lud polski = naród polski, złożony wyłącznie z rodowitych Polaków), kryteriów prawomyślności („prawdziwi” Polacy, Rosjanie, Amerykanie) to sytuacje wymownie ilustrujące antynomiczność zastosowań pojęcia demokracji, jego redukcję do absurdu (przykład: „demokratyczny” tylko dla Białych rasizm).

Liberalny syndrom „demokratyczne państwo prawa” i jego komponenty

Rozszerzone współczesne – i właśnie syndromatyczne – rozumienie demokracji (z założeniem, że demokracja = demokracja liberalna) to splot trzech elementów:

1. Demokratyczny model ustroju państwowego (wolne wybory, trójpodział władzy, pluralizm – jako różnorodność i równouprawnienie różnych tendencji społecznych, kontrolna i naciskowa rola opinii publicznej i mediów).
2. Kompleks swobód, praw i wolności obywatelskich (wolność sumienia, wolność słowa, zrzeszeń i zgromadzeń itd.).
3. Mechanizm praworządności (demokratyczne państwo prawa).

Już powiązanie idei i praktyki demokracji ze sferą wolności jako organicznego związku swobód na wielu płaszczyznach nadaje temu mariażowi charakter syndromu. Wolność (podobnie jak jej komponenty – swobody określonego rodzaju) staje się tu wartością demokratyczną, ale na jakiej zasadzie? Na takiej, że z jednej strony to te wolności są przesłanką, wręcz warunkiem niezbędnym ukonstytuowania demokratycznego porządku państwowego, a z drugiej, że

to demokratyczny sposób sprawowania, kontroli i ograniczania władzy staje się gwarancją dla tych wolności. Podobnie można by ująć zależność – w tym modelu liberalnym – między demokracją a praworządnością.

W ten sposób abstrakcyjnie rozmyte, potencjalnie blankietowe rozumienie demokracji zgodne z kluczem etymologicznym (władza ludu – cokolwiek tu znaczy władza, lud i władza ludu) zyskuje treść uściśloną i warunkową. Rozumujemy tak: demokracja bez wolności nie jest demokracją, podobnie – bez praworządności. A może i odwrotnie, jeśli chodzi o warunki istnienia stanów rzeczy określanych tymi nazwami. W państwie pozbawionym wolności obywatelskiej czy tym bardziej wolności dla człowieka jako człowieka demokracja staje się tylko fasadą i karykaturą; choćby dlatego, że lud nie jest tu już podmiotem, lecz tylko tworzywem i adresatem wymagań państwowych uzasadnianych niemożliwą do zweryfikowania wolą tegoż ludu. Tu do ludu się przemawia, a nie słucha. W państwie pozbawionym praworządności władza ludu szybko staje się co najwyżej pozorem, listkiem figowym dla samowoli władz.

Nie oznacza to jednak, iż skoro powstał taki splot doskonałości „w trójcy jedynej”, niemożliwe jest istnienie wolności, jak i praworządności, poza tym syndromem. Praworządność sama w sobie (jako stan rzeczy, w którym każdy, kto działa w jakiegokolwiek dziedzinie i sprawie, może działać tylko w określonych ramach prawa, posiadanych uprawnień, wymaganych procedur) jest możliwa w reżymie autorytarnym. Przykład: „Są jeszcze sądy w Berlinie”; choć autorytaryzm uprawdopodobnia raczej jej zaprzeczenia.

Z kolei wolność sama w sobie może się urzeczywistniać w postaci anarchicznej jako zespolenie partykularyzmu (posuniętego aż do braku poczucia odpowiedzialności za dobro wspólne, bezpieczeństwo wspólnoty itd.) z samowolą, woluntaryzmem. Taka konwersja może zresztą przybrać także postać syndromatyczną – *vide*: doświadczenie demokracji szlacheckiej w Rzeczypospolitej, sprzężonej z *liberum veto*, a zarazem z agenturalnością przedstawicieli ludu (posłowie sejmu elekcyjnego lub ciąglego na utrzymaniu obcych mocarstw).

Korelacja demokracji i demokratyzmu z pluralizmem i otwartością

W doktrynach demoliberalnych, chadeckich lub lewicowych za atrybut demokratyzmu życia społecznego i państwa uznaje się pluralizm. Czy demokracja jest tożsama albo przynajmniej nierozłączna z pluralizmem?

Demokracja rozumiana tylko *sauté* jako sposób rządzenia i ukierunkowanie działania zgodne z wolą ludu może przybierać postać zuniformizowania (jednorodność, a nie różnorodność potraktowana jako spoiwo wspólnoty i jako warunek wypracowania woli powszechnej; wola powszechna zgodna ze względu na tę jednorodność, nawet jednolitość poglądów zasadniczych, np. wyznaniowych, nacjonalistycznych). Względnie może funkcjonować jako „tyrania większości”. Budzi to zgrozę demokratów (w rozumieniu przyjętym powyżej), ale taka antynomia – „niedemokratyczna demokracja” – bywa realnym faktem, nie tylko abstrakcyjnym paradoksem.

Demokracja rozumiana dosłownie, acz uznaniowo (lud, władza ludu jako pojęcia-żetony) może przybierać antynomiczną, paradoksalną postać demokracji autorytaryzmu. Cechy takiego dziwołagu są znane: dyktat zbiorowy (większości) zamiast dialogu z oponentami; „zamordyzm” instytucji państwowych zawłaszczonych przez rządzących, tak aby władzy nie oddać – wsparty jednak w skali zbiorowej agresywnym fanatyzmem ich zwolenników i przyzwoleniem klienteli.

Demokracja (ręka świerzbi: by pisać w cudzysłowie) może polegać na woluntaryzmie nie tylko samych rządzących, ale również ich bazy społecznej („wola ludu jest ważniejsza niż prawo, reguły gry”; o czym całkiem niedawno przypomniał w Sejmie RP Marszałek-Senior Kornel Morawiecki). Wtedy też w imię demokracji (władzy i woli ludu) mogą być lekceważone lub w ogóle kwestionowane prawa jednostek i mniejszych grup oraz procedury stojące na straży ich praw. Wówczas formalnie kolektywistyczne (w odróżnieniu od indywidualistycznego – lud jako suma obywateli-wyborców, elektorat) rozumienie wspólnoty ewoluuje w kierunku modelu autorytarnego i totalitarnego. Niemal każdy demagog uważa siebie za demokratę i tak też jest postrzegany przez swoich zwolenników lub klientelę. Ażeby było śmieszniej, krytycy woluntaryzmu politycznego i dyktatorskich zapędów wspartych zbiorowym poparciem są postrzegani i przedstawiani jako warchoły, nosiciele anarchii, ale przede wszystkim jako wrogowie demokracji, skoro przeciwstawiają się woli ludu.

Nierównorzędne korelaty

Spójrzmy teraz na triadę „demokratyczne państwo prawa” z ontologiczno-strukturalnego punktu widzenia. W syndromie, jakim ma być lub nawet realnie jest demokratyczne państwo prawa, dwa człony dopełniające (wolność

i podmiotowość powszechna oraz praworządność) nie są równorzędne wobec tego głównego (demokracja).

Zauważalna jest tu swoista asymetria. Jak już wskazaliśmy, możliwa jest taka (czy – tak rozumiana) demokracja, która „obejdzie się” bez swobód obywatelskich, bez artykulacji zróżnicowania interesów i bez ekspresji różnorodności poglądów oraz bez praworządności, a realizuje się w postaci „sprawiedliwości ludowej” (niezbyt zgodnej ze sprawiedliwością prawną, proceduralną), w wiecowej samowoli, w plebiscytnym przesądzeniu spraw przewagą jednej strony sporu przy zupełnym zlekceważeniu stanowisk odmiennych, w zbiorowym namaszczeniu jedynowładcy – wybrańca ludu i upełnomocnieniu go *in blanco*. Zachnie się szczyry demokratą: gdzie tu demokracja?! Odpowiedzą mu populiści, że przecież lud tak chce, a kto sprzeciwia się woli ludu, ten nie jest demokratą.

Natomiast faktem jest, że szanse na praworządność w funkcjonowaniu państwa, jego funkcjonariuszy, jak i obywateli, są zdecydowanie większe w reżymie demokratycznym. Tym bardziej dotyczy to praw i swobód obywatelskich. Jeśli nie ma demokratycznego państwa prawa, to ich uznawanie w ogóle oraz zakres ich respektowania zależy od kaprysu rządzących lub w jakimś stopniu od siły protestów i buntów społecznych. Faktem jest też – paradoksalnie – że możliwe i znane są przykłady systemów autorytarnych względnie praworządnych, nawet niezwykle skrupulatnych w kwestiach proceduralnych (respektowanie i egzekwowanie procedur, zakresu i poziomu kompetencji). Systemów prawnych przewidujących mechanizm ograniczeń prawnych i kontroli prawnej, lecz bynajmniej nie kontroli społecznej (oddolnej ze strony mas, obywatelskiej czy medialnej), co najwyżej funkcjonującej w kręgu elit i instytucji władczych, na zasadzie wzajemnego ograniczania się. Powtórnie przypomnijmy tu przykład klasyczny z epoki fryderycjańskiej: „Są jeszcze sądy w Berlinie”.

Słowem korelacja wolności z demokracją jest silna, ale to jednak tylko korelacja, symbioza, lecz nie związek syjamski, czego przykładem jest wolność gospodarcza w dyktaturze w rodzaju pinochetowskiej. Natomiast korelacja praworządności z demokracją jest już słabsza – w tym sensie, że możliwa jest demokracja niepraworządna, a zarazem możliwa praworządność w państwie nie(zupełnie)demokratycznym.

W sumie – jeśli rozpatrywać to na płaszczyźnie zależności ontologicznych – jest tak, że władza ludu jest mechanizmem niejako samowystarczalnym (inna sprawa, że bez tych dopełnień zamienia się w swoje przeciwieństwo), podczas gdy wolność zbiorowa i jednostkowa urzeczywistnia się pod warunkiem, że władza ludu i wola ludu akurat szczęśliwie przeniknięta jest duchem wolności. W tej współzależności wolność to swoista zmienna zależna. Praworządność

jest natomiast nie atrybutem demokracji (choć chciałoby się, aby to było związkiem nierozzerwalnym), lecz tylko jej korelatem. Możemy oczywiście uciekać przed tą przykrą konstatacją przez perswazyjne zakłęcia, że prawdziwa demokracja, zasługująca na tę nazwę, organicznie zakłada praworządność. Lecz będzie to tylko uzasadnianiem wybranego przez nas syndromatycznego (w tym przypadku liberalnego) modelu demokracji. Inna rzecz, że demokracja oparta na anarchoautorytarnym syndromie demagogii to twór przerażający, a „demokracja” na smyczy rządzących to zjawisko, w którym samo słowo trzeba opatrzyć cudzysłowem.

Paradoks deficytu demokracji w demokracji

Jeśli nie zadowolimy się poprawną wykładnią demokracji (w praktyce nieraz życzeniową, gdyż zaprzecza im praktyka rządzących) jako porządku konstytucyjnego, a skrzyżujemy ustrojową kategorię demokracji z kryterialnym pojęciem demokratyzmu (jako zasady odnoszonej nie tylko do maszyny państwowej i jako tendencji w życiu społecznym) oraz demokratyczności (jako cechy stosunków społecznych, poglądów i postaw ludzkich), to nieuchronnie dostrzeżemy liczne niezgodności. I wtedy pytanie „ile jest demokracji w demokracji?” nie będzie wydawać się żartem ani pleonazmem.

Paradoksalnie w formalnie bardzo demokratycznym państwie życie polityczne bywa, wbrew tym konstytucyjnym ramom (w efekcie – fasadom) niezbyt demokratyczne.

Oto kilka takich dysonansów:

Mogą być zagwarantowane prawa jednostek jako podatników, wyborców, konsumentów, a zarazem ignorowane, ograniczane prawa pracownicze obywateli i całych grup zawodowych.

Może być – jak teraz w Polsce – zagwarantowana ochrona uczuć religijnych, ale nie wszystkich jednakowo, w praktyce oznaczająca dominację Kościoła katolickiego, uprzywilejowanie jednego wyznania nie tylko w prawnej ochronie interesów. Ochrona uczuć religijnych pojmowana i praktykowana tak, że zamachem na nie jest jakakolwiek krytyka religii, a nawet krytyka kościoła i duchowieństwa niewymierzona w samą religię ani w uczucia religijne jej wyznawców. A zarazem bezkarne jest dyskryminowanie i nawet lżenie ateistów i innowierców. Kiedy np. duchowny-obskurant z ambony wypowiada androny, iż źródłem patologii społecznych (chuligaństwa, pijaństwa,

złodziejstwa, zbroceń seksualnych) jest ateizm lub herezja, pozostaje to oczywiście bezkarne.

Wolny wyborca może głosować jak chce (z tą poprawką, że – jak w restauracji – wybiera z menu, a nie ma czasu na dania na zamówienie). Jednak jego rola jako mocodawcy (pracodawcy) polityków na tym się kończy. Dalej jest jak w handlu: „po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnia się” czy też „zwrotów nie przyjmujemy”. Obywatel może zagłosować jak chce lub nie zagłosować, lecz po tym uroczystym powierzeniu komuś rządów nie ma możliwości zapobieżenia działaniom sprzecznym z zobowiązaniami czy skutecznego wymuszenia ich realizacji. Można lekceważyć inicjatywy obywatelskie, protesty, petycje, żądania referendum, a po wyborach w imieniu tego obywatela, choć często wbrew jego woli i interesom, może rządzić oligarchia. Umowa społeczna zawierana w toku kampanii wyborczej nie ma takiej mocy sprawczej jak układy w światku polityków i prerogatywy rządzących tylko w pewnych granicach skrępowane oceną społeczną.

W ułomnych trybach demokracji formalnej suweren (utożsamiany z sumą obywateli uprawnionych do głosowania) to ktoś, kto powierza politykom władzę nad sobą po to, aby już jej nie odzyskać, w każdym razie nie w czasie trwania kadencji. Łatwiej jest popełnić pomyłkę wyborczą lub zostać zawiedzionym albo wręcz oszukanym przez wybranych naszym głosem niż ich potem w porę odwołać, o ile w ogóle jest to przewidziane przed kolejnymi wyborami.

Jak wiadomo „każdy może zostać milionerem” (może w tym sensie, iż nie jest to zabronione, a każdy ma prawo się starać). I podobnie jak w tych mitach „z chłopą królem, z pucybuta miliarderem” jest z wizerunkiem szans obywatela – dla każdego aktywność i kariera polityczna stoi otworem, czego gwarancją mają być prawa wyborcze, swoboda zrzeszeń itd. Każdy obywatel może (bo mu wolno, bo ma do tego prawo) kandydować w wyborach lub np. założyć własną partię; w rzeczywistości nie może, jeśli go na to nie stać lub jeśli nie znajdzie sponsorów. Jednak sponsoring oznacza zobowiązanie wobec wspierających i uzależnienie, a nie wolną wolę i inicjatywę. Każdy obywatel ma prawo i nawet rzeczywistą możliwość wstąpienia do dowolnej partii, by w niej działać i kandydować na stanowiska państwowe. Tyle tylko, że realnie o jego karierze partyjnej decyduje partyjna centrala i oligarchia. Problematycznie demokratyczna bywa dyscyplina partyjna w głosowaniach, ewidentnie niedemokratyczna jest zależność możliwości działania czy kandydowania od osobistej lojalności wobec wodza głównego lub lokalnego, a nie od uznania i poparcia społecznego.

Ideologii prawnej – skodyfikowanej przede wszystkim w konstytucji – przepojonej demokratyzmem politycznym i społecznym może nie odpowiadać, nawet jaskrawo jej zaprzeczać mentalność nie tylko rządzących, ale i samych rządzonych. W demokratycznym państwie prawa można rządzić i zarządzać w takim stylu, który ma znamiona kultury folwarcznej. Nawet powszechna, narastająca dezaprobatą społeczną nie podważy demokratycznej legitymacji (w istocie – tylko wyborczej, bo ciąg dalszy to nie jest jakiś wykupiony abonament!). Można też demokratycznie (bo reprezentatywnie dla nastrojów społecznych i zgodnie z procedurami) zgłaszać inicjatywy ustawodawcze dyskryminujące takie czy inne grupy, wykluczające, piętnujące pewne mniejszości mimo ich postawy lojalistycznej.

Konstytucja w ustroju formalnie demokratycznym gwarantuje pluralizm mediów – tyle tylko, że jedne siły polityczne dysponują potężną infrastrukturą medialną, inne skromnym przyczółkiem (np. gazetą o niskowym zasięgu), a jeszcze inne – niczym. Okazuje się zatem, że pluralizm to jedynie rodzaj spisu treści w katalogu wszelkich możliwych opcji, w oderwaniu od realnego zasięgu każdej z nich. Takie spektrum możliwego wyboru nie ma żadnego związku z faktyczną równością szans i równoprawnością odmiennych, przeciwstawnych poglądów. Jeśli większość wybierze tych, których lepiej widać i słyhać niż tych bez megafonu, to jest demokratycznie.

W tych warunkach dość naiwnym skrótem myślowym jest też określenie „wolne wybory”, jeśli przypisuje się mu sens dalej idący niż tylko stwierdzenie proceduralnej skrupulatności i przejrzystości. Są one wolne i przez to o tyle uczciwe, że niesfałszowane, nieprzesądzone z góry w swoim wyniku machlojkami przy obliczeniach lub zastraszeniu wyborców. Ich uczciwość może być jednak o tyle problematyczna, że **szanse** pretendentów (jak i ich zwolenników, wyborców) nie są równe w punkcie wyjścia, a właśnie nierówność szans w jakiejś mierze przesądza wynik. Uwidocznia się to wyraźnie, gdy porównamy możliwości opozycji, zwłaszcza pozaparlamentarnej i kandydatów partii rządzącej prowadzących kampanię wyborczą z funduszy państwowych, w ramach pełnienia obowiązków i wizyt gospodarskich. Dalej: głosy wszystkich wyborców są sobie równe, ale wynik wyborów nie zależy po prostu od frekwencji i statystycznego rozkładu głosów, ponieważ ten rozkład głosów zależy właśnie od zasięgu i natężenia indoktrynacji, propagandy, agitacji wyborczej określonych mediów, marketingowej ofensywy itd.

Biorąc pod uwagę te dość proste paradoksy trzeba szerzej spojrzeć na kwestię fasadowości demokracji. Poza tym, że istnieją tak zwane demokracje fasadowe (dosłownie – kierowane, suwerenne, w których granice swobody

działania określa sobie sam niezmienny i samowładny ośrodek władzy), wypadałoby też dostrzec rozliczne elementy fasadowości w demokracjach formalnie (konstytucyjnie i proceduralnie) wręcz perfekcyjnych, wzorcowych.

Podsumowanie

Omówionych niuansów nie usłyszymy oczywiście ani w przemówieniach sejmowych, ani na konferencjach prasowych polityków, ani w komentarzach publicystów wyznających liberalny lub przeciwnie, autorytarно-populistyczny wzorzec demokracji. Jedni i drudzy wolą redukcje pojęcia demokracji do jednego wymiaru i ucieleśnienia (legitymacja wyborcza, opinia powszechna w sondażach i na wiecach, demokratyczne instytucje prawne). W nadchodzącej przyszłości nie ma też szans na to, aby świadomość tych subtelnosci była wpajana działwie szkolnej. Może przynajmniej na wykładach uniwersyteckich znajdzie się na to miejsce.

Bibliografia

- Antoszewski A. (2016), *Współczesne teorie demokracji*, Warszawa.
- Błuszkowski J., Mider D. (2012), *Demokracja późnej nowoczesności*, Warszawa.
- Braud Ph. (1995), *Rozkosze demokracji*, Warszawa.
- Canova M. (2008), *Lud*, Warszawa.
- Chmielnicki P., Minich D. (2019), *Gorzki smak kiełbasy wyborczej. Obietnice wyborcze i ich realizacja ustawami w latach 2015–2016*, Warszawa.
- Fik I. (1988), *O żywą treść Demokracja. O władzy iluzji w królestwie rozumu demokracji*, Warszawa.
- Flis J. (2014), *Złudzenia wyboru. Społeczne wyobrażenia i instytucjonalne ramy w wyborach do Sejmu i Senatu*, Kraków.
- Fromm E. (1996), *Niech się stanie człowiek. Z psychologii etyki*, Warszawa-Wrocław.
- Fukuyama F. (2009), *Koniec historii*, Kraków.
- Garlicki J., Noga-Bogomilski A. (2004), *Kultura polityczna w społeczeństwie demokratycznym*, Warszawa.
- Górski R. (2007), *Bez państwa. Demokracja uczestnicząca w działaniu*, Kraków.
- Gross F. (1992), *Tolerancja i pluralizm*, Warszawa.

- Grzybowski K. (1972), *Tezy o demokracji i dyktaturze*, (w:) Grzybowski K., *Refleksje sceptyczne*, tom II, Warszawa.
- Gulczyński M. (1997), *Dylematy etyczne demokracji bezprzymiotnikowej In statu nascendi*, Wykład na inauguracji roku akademickiego 199/98 w Wyższej Szkole Pedagogicznej im. T. Kotarbińskiego w Zielonej Górze, Zielona Góra.
- Gulczyński M. (2004), *Panorama systemów politycznych świata*, Warszawa.
- Gulczyński M. (2008), *Kreowanie demokracji. Z dysput o celach i metodach polskiej transformacji*, Warszawa.
- Habermas J. (2005), *Faktyczność i obowiązywanie. Teoria dyskursu wobec zagadnień prawa i demokratycznego państwa prawnego*, Warszawa.
- Jasienica P. (1989), *Polska anarchia*, Kraków.
- Karwat M. (2005a), *Demokratyczny wzorzec partycypacji*, „Społeczeństwo i Polityka. Pismo edukacyjne”, nr 3–4 (4–5).
- Karwat M. (2005b), *Kryteria demokratyzmu postaw społecznych, stosunków politycznych i państwa*, „Społeczeństwo i Polityka. Pismo edukacyjne”, nr 1 (2).
- Karwat M. (2006), *O demagogii*, Warszawa.
- Karwat M. (2009), *Syndromatyczny charakter przedmiotu nauki o polityce*; (w:) Wojtaszczyk K.A., Mirska A. (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie*, Warszawa.
- Król M. (1994), *Słownik demokracji*, Warszawa.
- Król M. (2017), *Jaka demokracja?*, Warszawa.
- Kubat M. (2010), *Teoria opozycji politycznej*, Kraków.
- Kuciński J. (red.) (2005), *Szanse i zagrożenia procesu konsolidacji systemu politycznego III Rzeczypospolitej Polskiej*, Warszawa.
- Kuehnelt-Leddihn E. (2012), *Demokracja – opium dla ludu*, Warszawa.
- Lamentowicz W. (1996), *Państwo współczesne*, Warszawa.
- Leder A. (2014), *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa.
- Lenin W.I. (1981), *O demokracji socjalistycznej*, Warszawa.
- Lipiec J. (1979), *Ontologia świata realnego*, Warszawa.
- Locke J. (1992), *Dwa traktaty o rządzie*, Warszawa.
- Mill J.S. (1995), *O rządzie reprezentatywnym. Poddaństwo kobiet*, Kraków.
- Mouffe Ch. (2005), *Paradoks demokracji*, Wrocław.
- Olson D.M. (1998), *Demokratyczne instytucje legislacyjne*, Warszawa.
- Ossowska M. (1992), *Wzór demokracji: cnoty i wartości*, Lublin.
- Pawelczyk P. (2000), *Socjotechniczne aspekty gry politycznej*, Poznań.
- Raciborski J. (2011), *Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej*, Warszawa.
- Reykowski J. (red.) (1995), *Potoczne wyobrażenia o demokracji. Psychologiczne uwarunkowania i konsekwencje*, Warszawa.

- Reykowski J. (2019), *Rozczarowanie demokracją. Perspektywa psychologiczna*, Sopot.
- Rudziński R. (red.) (1974), *Idea demokracji w tradycji myśli socjalistycznej*.
Wybór tekstów, Warszawa.
- Runciman D., Brito Vieira M. (2011), *Reprezentacja*, Warszawa.
- Safjan M. (2005), *Prawa Polska*, Warszawa.
- Sartori G. (1994), *Teoria demokracji*, Warszawa.
- Schumpeter J.A. (1995), *Kapitalizm, socjalizm, demokracja*, Warszawa.
- Szymanek J. (red.) (2016), *Niedemokratyczne wymiary demokratycznych wyborów*,
Warszawa.
- Śpiewak P. (2004), *Obietnice demokracji*, Warszawa.
- Tobiasz M. (red.) (2016), *Antynomie i paradoksy współczesnej demokracji*, Warszawa.
- Tocqueville de A. (1976), *O demokracji w Ameryce*, Warszawa.
- Urban M. (2013), *Demokratyczna osobowość. Model i jego urzeczywistnienie
w warunkach polskiej demokracji*, Warszawa.
- Wojtaszczyk K.A., Stawarz P., Wiśniewska-Grzelak J. (red.) (2018), *Zmierzch
demokracji liberalnej?*, Warszawa.
- Zieliński T. (1999), *Czas prawa i bezprawia. Myśli niepokorne kustosza praw*,
Warszawa.
- Zieliński T. (2001), *Labirynt praw i obyczajów. Zapiski z końca XX wieku*, Warszawa.
- Zieliński T. (2002), *Droga do Ziemi obiecanej*, Warszawa.
- Ziółkowski J. (red.) (2016), *Wpływ i władza w systemie demokratycznym*, „Studia
Politologiczne”, vol. 41.
- Znamierowski Cz. (1988), *Szkoła prawa. Rozważania o państwie*, Warszawa.
- Znamierowski Cz. (1991), *Elita i demokracja*, Warszawa.
- Żyro T. (2004), *Wstęp do politologii*, Warszawa.
- Żyro T. (2008), *Wola polityczna. Siedem prób z filozofii praktycznej*, Warszawa.

DEMOCRACY, DEMOCRATIC, DEMOCRATISM, DEMOCRATIZATION AS A SYNDROMIC TERMS

Abstract

Democracy, democratic, democratism, democratization are syndromic terms. Both in themselves, as Simple terms, when we indicate the definition criteria, and in complex terms – such as, for example, liberal democracy or the democratic state of law. The syndromic nature of these concepts lies in the fact that their content is not one-dimensional (reduced to the method of the emergence and legitimation of power, the method of governing, the relationship between the ruling and the ruled), but is determined by a combination of ideological, ethical, socioeconomic and legal characteristics. “Adjectival” democracy is a different quality than “pure” democracy understood literally, but also in blank form. This is reflected in the doctrinally diverse models of democracy.

Keywords: democracy, democratic, democratism, democratization, syndromic.

JEL Codes: Y8

Afiliacja: **prof. dr hab. Mirosław Karwat**
Uniwersytet Warszawski
Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych
Katedra Teorii Polityki i Myśli Politycznej
00-927 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 26/28
e-mail: miroslawkarwat@o2.pl